

L A U R A

*Adori*

„Czy łatwiej zrobić karierę  
za granicą, czy znaleźć  
mężczyznę swojego życia?”

Przebudzenie  
*Lukrecji*

LIRA  
WYDAWNICTWO



Przebudzenie  
*Lukrecji*



L A U R A

*Adori*

Przebudzenie  
*Lukrecji*

L I R A  
WYDAWNICTWO

Lira Publishing Sp. z o.o.  
Wydanie pierwsze  
Warszawa 2017  
ISBN: 978-83-65838-00-1

## ROZDZIAŁ 1

### *O czym myślisz w pociągu, skoro nie o tym samym, co ja?*

Rozkładasz nogi, zamykasz oczy i próbujesz odpłynąć. Widzisz ocean pokryty taflą lodu. Jesteś zupełnie sama. Jeśli po przebudzeniu wątpisz, czy w ogóle spałaś, a patrząc w lustro, zastanawiasz się, czy ta wyblakła twarz należy do ciebie, zostaje ci na pocieszenie motto ciotki Aurelii: *Możesz być szczęśliwa z każdym mężczyzną, pod warunkiem że go nie kochasz...*

Siedząc w pociągu, powtarzam je jak mantrę. Próbuję sobie nawet wizualizować wielkie łożo

pachnące wanilią przełamana nutą sycuańskiego pieprzu. Jednak zamiast jedwabnej pościeli i ciemnozielonych lancetowatych liści pieprznego krzewu mam przed oczami oblodzony szczyt Mont Blanc, a w tle białe plamy. Przypominają nieszczęśników rzucających się w przepaść. Tych, którzy uwierzyli, że miłość utrzymuje świat przy życiu, i czekali niczym zamrożona ziemia na wiosnę — by obrodzić. Przeoczyli moment, kiedy zamienili się w gliniastą glebę. Zbyt skostniała, by coś z niej wyrosło.

Facet w takim stanie ducha idzie wykupić ubezpieczenie od samotnej starości lub zalewa się w trupa. A co robi kobieta — ze swoim atutem nieprzewidywalności? Zapisuje się na kurs odzyskiwania życia. Wydaje fortunę, katuje się w weekend dwiema z rzędu pobudkami o szóstej rano i przez sześć godzin pompuje przeponą w towarzystwie innych desperatek. Oto cena *Wyzwolenia przez oddech*. Właśnie wracam z warsztatów. Galopada myśli i drętwienie łokci nie ustąpiły, ale podobno wystarczy czterdzieści dni praktyki oddechowej i chłonięcia dobra, aby mózg nauczył się odczuwać szczęście. To głos nadziei, nie frustracji. Na razie siedzę odprężona, na tyle, na ile się da z moimi — w trybie przypuszczającym — pięcioma, a w trybie



orzekającym — ośmioma kilogramami nadwagi, i wiem, że jest niedzielny wieczór, a ja od jutra kończę z porannymi muffinami, popołudniową bezą, a zwłaszcza z Tinderem. Ostatni supermen poznany w cyberświecie, po którym dostałam odrętwienia łokci już po pierwszej randce, napisał: *Poznasz mnie po tym, że mój wielki cień zawsze pada na ścianę tak, by mnie przyćmić.* Ta przewrotna skromność pozbawiła mnie wahań. Rzeczywiście okazał się czarujący, taktowny i taki, jaki dawno nie był dla mnie nikt, a duży rozmiar miał nie tylko jego cień. Aż trudno uwierzyć, że zamilkł jak wszyscy inni po czterech spotkaniach. Moja przyjaciółka Wera ma rację. Jeśli facet na portalu randkowym pisze, że ma trzy pasje, spław go od razu. Jedno, czego możesz być pewna, to to, że nie zrobi z ciebie tej czwartej. Półtorej pasji to maksimum, z jakim wyrabia się zrównoważony emocjonalnie mężczyzna, który wie, czego nie chce.

Za oknem pociągu samotność Niziny Padańskiej, w oddali góry. To, co majaczy na horyzoncie, to pewnie wcale nie Mont Blanc, tylko masyw Bernina, a ja jak zwykle próbuję dopatrzeć się czegoś wielkiego w czymś całkiem średnim. Zawsze, gdy widzę Alpy, myślę o ciotce Aurelii. Ona jedna w naszej

rodzinie umiała zdobywać szczyty i śmiać się wtedy, gdy przyszło z nich spadać. Znała się na życiu i wiedziała, że najlepszym sposobem pokonania pokus jest uleganie im. Żartowała, że uczenie się na błędach to hobby tych, którzy na wszelki wypadek nie podnoszą tyłka z kanapy, by ich nie popełnić.

W Aurelii więcej było czaru niż urody. Więcej polotu niż życiowych możliwości. Miała czterech mężów — dwóch obłądnie przystojnych, trzeci prawie przystojny, a czwarty na tyle elegancki, że braki w aparycji nikomu nie rzucały się w oczy. Do tego rzesze tych, którzy aspirowali do jej poślubienia. Wielu porzuciło dla niej żony, narzeczone i swoje ideały. Jeden mecenas podobno poświęcił nawet życie — gdy się dowiedział, że nie ma szans go z nią dzielić, skoczył do Wisły. Aurelia popadała w karciane długi, niefarty i ludzką niełaskę. Ale nigdy nie popadła w udrękę miłosną. Podobno nie zakochiwała się, póki nie zakochano się w niej, i odkochiwała się, zanim ktoś ją w tym ubiegł. Umarła z takim samym rozmachem, z jakim żyła. Na parkiecie. W wieku dziewięćdziesięciu pięciu lat. Na chwilę przed ostatnim podrygiem w takt *Strangers in the night* wyszeptwała podobno do tańczącego z nią siedemdziesięciolatka: „Chciałabym robić z panem to, co letnie słońce z poziomkami”.

Oddam estrogen za testosteron albo wymienię ambicję na śmiałość Aurelii. Choćby na ten jeden wieczór, kiedy podniecasz się myślą, że jutro nie poczujesz tego, co zawsze. Zdobędziesz się na to, na co tydzień temu zabrakło ci odwagi. Wyrwiesz się z monotonii i hibernacji, w którą zapadasz, jadąc codziennie tymi samymi ulicami, siadając na tym samym fotelu, przy tym samym oknie, w którym czasem mignie ci odbicie kogoś, kogo sama nigdy byś nie wymyśliła. Obudź się! Od dawna jesteś tą osobą z lustrzanego odbicia. Raz po raz coś ci wyrывa z codziennych odruchów. Słodka nuta agresywnego musu przenosi cię nagle w koronki leśnych paproci, w puch dzikiego mchu, gdzie łaskotana liśćmi skóra czyni rzeczywistość nierealną. Jeśli dotąd drwiłaś z nostalgii, teraz oddajesz jej hołd. Kiedy indziej niewinne ziarnko gorczycy, zabłąkane w zupie między limonką a krztyną chili, jak przedsmak euforii, podrywa cię z krzesła. Wiele obiecuje, niczego nie zapewnia. Ale przypomina o istnieniu małych rozkoszy. Możesz wachać, dotykać, zajmować zmysłami przestrzeń. Być bliżej życia.

Uwielbiam pociągi. Lubię patrzeć na ciała ludzi. Sprawdzać, w jakim stopniu potrafią otworzyć się na przyjemność. Kobiety wiedzą, czego chcą, a robią to, do czego je przyzwyczajono. Jesteśmy bardziej

sensualne od mężczyzn, ale tuż po zajęciu miejsca od razu się kurczymy. Owijamy jedną nogę wokół drugiej. Blokujemy miednicę. Napinamy ramiona. Jakbyśmy nikomu nie chciały zawadzać i tylko w tych przykurczach czuły się na swoim miejscu. Mężczyźni się w to nie bawią. Wchodzą, siadają i zaraz rozsuwają kolana na boki. Popadają w małe drzemki lub wielkie zamyślenia, bezwiednie wykraczając poza linie swoich foteli. Dopiero gdy zderzą się z nogami kogoś siedzącego obok, ustępują z zawłaszczonego terytorium. Do czasu, nim znów odruchowo na nie nie wkroczą.

W życiu jest tak samo jak w pociągu. Albo się podkurczysz, albo rozprężysz i zagarniesz przestrzeń. Niby wyzwolone kobiety to potrafią. Jednak co innego zagarniać małą częśćkę świata, a co innego wziąć w całości jednego mężczyznę. Ledwie zaczniesz, już coś się kończy — albo ten facet, który jest jeszcze w tobie, ale przy tobie już go nie ma, albo zainteresowanie nim. Dziki tygrys okazuje się kotem kanapowcem. Pech kobiet, które potrafią zagarniać, polega na tym, że wołałyby być zagarniane. Mój pech nawet nie jest wybredny. Nieważne, co bym wołała, on zawsze prowadzi mnie w tym samym kierunku. Gdybym miała wybrać jednego spośród wszystkich pasażerów tego pociągu, wyłowiłabym

mężczyznę, który właśnie jedzie do psychiatry albo powinien tam jechać, tylko o tym nie wie. Ostatecznie — kogoś, kto czuje się całkowicie wolny, a w rzeczywistości jest trochę żonaty. Kogoś, kto wyznaje, że chwilę wcześniej odszedł od żony, ale nie wspomina, że zaraz do niej wraca, bo zawsze tak robi. Krętacza lub rozbitka wyłowię na każdym oceanie, nigdy nie wierząc, że to znowu on. Doczepię mu łątkę nadwrażliwości, czegoś ekscentrycznego albo trudną przeszłość. A tego właściwego przeoczę, znudzę się patrzeniem, zanim się zorientuję, że to mógł być właśnie TEN.

Brunet pod oknem. Gdybym zagrała w grę „spójrz tam, gdzie zwykle nie patrzysz”, to mógłby być on. Mężczyzna z żelem na włosach, ale bez żony. Bez wielkich natręctw i katastrofalnej wizji świata. Niewiele by to dało, skoro już wyłapuję, że ciągle spuszcza głowę, nie patrzy w dal. Jego koszula nie ma żadnych zagnieceń, a jego jutro zapewne wygląda tak jak wczoraj. Można by z nim praktykować czynności egzystencjalne od dziewiętnastej do dwudziestej drugiej przez pięć dni w tygodniu, a w weekendy nawet dłużej. Można by mu robić lombardzkie pizzoccheri bianchi, a lepiąc gnocchi, o jakich marzy, fantazjować, jak zlizuje z ciebie sos. Potem, nie wiadomo kiedy, jesteś już tylko ty i brudne talerze.

Pospiesznie je zbierasz, wiedząc, że jedyną rzeczą, która ożywi twój wieczór, będzie szum zmywarki.

A pan po przekątnej, z zarostem? Ambicja wojownika w ciele wiecznego chłopca. Kolor oczu porusza. Zakola mniej. Najtrudniej zaufać ustom. Zaciśnięte, wąskie, pewnie rzadko ustępują. Raczej nie lubią tego, co soczyste i krwiste. Może nawet jadają flaczki po florencku zaduszone na wiór w pomidorach. Plamka na koszuli jest zapewne po nich. Uniesione ramiona i zaciśnięta żuchwa zdają się krzyczyć: nie lubię ryzyka, boję się tego, czego nie znam. Czy dlatego tak się napręża? Ani razu na mnie nie spojrział. Nie czuje mojego wzroku? Może w ogóle nie lubi czuć. A co, jeśli nie patrzy, bo widzi, że się zbliżam?

Tak jak ten pociąg dobija do Mediolanu, tak i ja, nieszczęsna, dobijam do owej strasznej daty. Gdybym była pociągiem, mogłabym przynajmniej czuć się jak spóźniony ekspres. A jestem samotną kobietą w przededniu okrągłych urodzin i prędej się wykołuję na cenach kremów, niż cokolwiek opóźnię. Zaraz się zacznie. Luzowanie policzków, ciążenie grawitacyjne w okolicach podbródka, zwisy w dolinie łez, wąwozy w okolicach ust. Tak, wiem. Każda kobieta po kilku kursach samorozwoju wie o tym, że tajemnica młodości polega na tym, by nie dać się zawładnąć uczuciom, z którymi nie jest nam

do twarzy. Ale jak wznieść się ponad to, gdy jedyne, co czujesz, to lęk przed opadaniem? Zaraz stanę się kobietą po czterdziestce. Przypudrowaną swoim słodkobrzmiącym imieniem — Lukrecja. To dzieło mojej ambitnej matki. Jakby hołd, który złożyła swojemu gorzkiemu życiu, skazując moją młodość na epitety w stylu: „czarny cukiereczku o anyżkowym smaku” czy „moja ty esencjo likieru Sambuca”. Wspomnienie tego, co kiedyś wydawało się goryczą, dziś brzmi jak nieosiągalna słodycz lukru. Czy to, co teraz wygląda na kompletne załamanie, za chwilę jakiś coach nazwie przebudzeniem duchowym?

Milano. *Buongiorno, capitale!* Jak dla mnie — *mortale*. Pan przystojny z zakolami wytaszczył walizkę z przedziału i ani *be*, ani *arrivederci*. Włosi i ta ich kultura. Skończyli się w okolicach Dantego, a udają, że jest jak dawniej. Nawet na mnie nie spojrzął. *Addio, pomodoro!* Żegnajcie nietknięte gołe kostki w mokasynach. Za drzwiami przedziału czeka przyjemne ciepło wieczoru. Chociaż ono nie wystawi cię do wiatru. W lutym daje się już wyczuć w powietrzu wiosnę. Gorzej z godziną, o której Włosi zaczynają wieczorny posiłek. Mój Potrójny Ogrzewacz szaleje i żąda, by już teraz dostarczyć mu pokarm, który przetransportuje za dwie godziny komórkom całego ciała. Ale konia z rzędem temu, kto żyjąc

we Włoszech, odważy się przyznać do wstydlivych praw swojego biologicznego zegara. Albo kochasz życie, albo szanujesz kwestie trawienne. Kolacja z Claudią jest dopiero za półtorej godziny. Mogę się przez ten czas włóczyć, chłonąc dobro tego świata, wyłączając z niego bezy i inne obiekty cellulitotwórcze. Claudia to jedna z tych szczęściar, które potrafią wyzwolić się od zagrożeń kalorycznych za pomocą zwykłego krokomierza, który przypomina ci, że za mało dziś się nachodziłaś, by utrzymać twój właściwy poziom szczupłości. Claudia nie zasypia, jeśli nie wyrobi swojej chodziarskiej normy. Jest nieugięta. Woli dążenia od marzeń i potrafi przekuć każdy swój kryzys w kreatywny projekt, a potem go spieniężyć. Sprawia wrażenie, jakby urodziła się z poczuciem możliwości wpływania na losy świata. Gdy się z nią spotykasz, jeśli tylko przeżyjesz pierwsze trzydzieści minut monologu o jej ostatnich sukcesach, masz szansę dostać celną wskazówkę na życie. W odróżnieniu od kursu *Wyzwolenia przez oddech* pomoże ci ona wprowadzić zmiany szybciej niż po czterdziestu dniach. Grunt to nie zamykać się w sobie, nawet gdy Claudia zacznie, jak ostatnim razem, od słów:

— Lukrecjo, musisz odzyskać czas, który poświęcasz na zbędne rzeczy. Wtedy godzina marszu lub



pół godziny joggingu dziennie nie będzie dla ciebie żadnym kłopotem, a twoje ciało wróci do rozmiaru trzydzieści sześć.

Jak po takim wstępie przejść do powiedzenia o tym, co zawsze, czyli o kolejnych niefartach losu? Zasada ciotki Aurelii numer nie pamiętam który: *Nie patrz na to, co odeszło, bo nie zauważysz tego, co ma nadejść*. Zwierzęta mają oczy po bokach, żeby się chronić, człowiek ma je z przodu, jakby był nastawiony na atak. Mniejsza o to, co kto atakuje. Jedno jest pewne: nie masz oczu z tyłu! Natura nie życzyła sobie, byś patrzyła na to, co minęło. Lukrecjo, do boju! Żadnych tkliwych zwierzeń o tinderowych niewypałach, tylko poważne rozmowy o przyszłości. Wariant niewinny: Claudynko, gdyby obcięli ci o jedną szóstą pensję, tak znieńacka, co byś zrobiła? A może odważniej: Wiesz, czuję gotowość do zmiany i szukam nowych wyzwania. Czy widzisz mnie w roli... No właśnie, jakiej? *Uno, due, tre...* Co mnie uratuje?

Znieculić się kieliszkiem Franciacorta Rose na Piazza Stefano czy od razu poddać się torturom wystaw na Via Montenapoleone? Popatrzeć na doskonałe geometryczne formy deptaka. Wstrzymać oddech i zatopić się w ciągnących się po obydwu stronach kompozycjach z butów, torebek i sukienek.